

JAKUB CIEĆKIEWICZ

Wszystko zaczyna się u zbiegu czterech ulic: Kościuszki, księcia Józefa, Królowej Jadwigi i św. Bronisławy. Tuż obok ciągnie się zaniedbana pętla tramwajowa, zarosła ostami i łopianami, wśród których brodzi koza – ze zmierzwioną sierścią, zaczepna, jakby wywodząca się z najprawdziwszych zwierzyńskich andrów.

Ruchem tramwajów kieruje lekko niedorozwinięty Edek Partyzant – w harcercskim mundurze, z piersią pełną wojskowych odznaczeń, z manierką przy boku i mapnikiem na pasku. Daje znak. Motorniczy kładzie dłoń na złotej, wypolerowanej od rąk korbie. Lecz zanim pojazd ruszy, pasażerowie usłyszą jeszcze wykrzykiwany gardłowo wierszyk ulicznego sprzedawcy:

„Hop! Hop! Hop! Polską rządzi robotnik i chłop! Chłop rządzi pustą stodołą, a robotnik dupą gołą. Drooopsy! Kupujcie dropsy! Malinowe, cytrynowe...”

Gdzie jesteście? W świecie przypominającym liryczną i pełną humoru prozę Hrabala? W teatryku radiowym Jacka Stwory? Nie. Znajdujemy się w samym sercu krakowskiego Zwierzyńca, w latach powojennych, wskrzeszonych we wzruszającej książce Andrzeja Kozioła: „Zapominany Kraków. Spis rzeczy minionych”.

„W dzieciństwie ocierałem się o wiek XIX, u progu statecznej mądrości wszedłem w rzeczywistość XXI stulecia. Telefon na korbkę, dostępny ongiś tylko nielicznym, został zastąpiony przez komórkowe aparaty oraz e-maila. Objazdowe kino, przez telewizory (...) – pisze autor w przedmowie. – Moje dzieciństwo wpływało więc w codzienności Krakowa, nie licząc krótkiego pobytu w Tarnowie, wakacji w Nowych Żukowicach oraz w dalekiej Łomży. W światach bardziej odmiennych niż obecnie. Czasach trudnych, ale barwnych, mimo że biednych. Czasach pożłaczonych dzisiaj... sentymentem”.

Historia posypana cukrem

Najnowsza książka Andrzeja Kozioła jest więc kontynuacją, a właściwie drugą częścią, autobiograficznych – „Smakowoni” – opowieści o dzieciństwie spędzonym na Zwierzyńcu, zanurzonym w przestrzeni miejskich peryferii i polskiej prowincji. Narrator, podobnie jak poprzednio, przywołuje wiele zapomnianych już dzisiaj miejsc, zachowań, przedmiotów, obyczajów, wskrzesza barwne postaci. Uruchamia wielką karuzelę pamięci i wzruszenia.

Jak zawsze posługuje się czasem magicznym, mitycznym, zastępnym w przedmiocie, geście, anegdocie, w starej fotografii – w czasie posypanym słodkim cukrem nostalgii: gdzieś między końcem Wielkiej Wojny a początkiem lat 80. XX wieku. I właśnie dzięki temu, opowiadając historię dzieciństwa jednego człowieka, opowiada zarazem dzieje kilku kolejnych generacji krakowian.

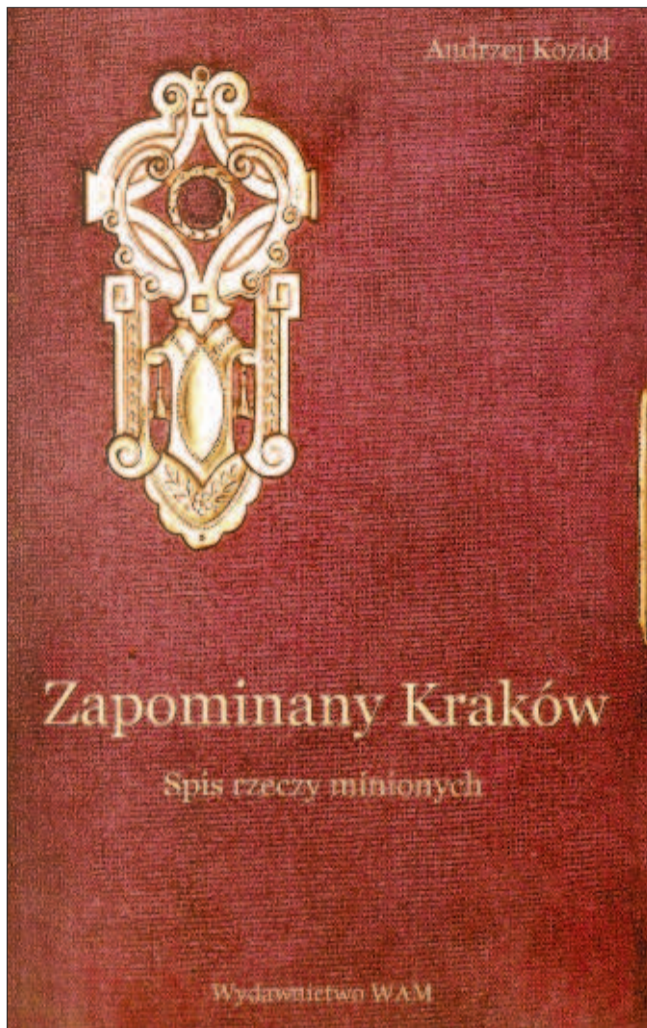
W książce znajdziemy opowieść o... oknach, latem wypełnionych słojami, pełnymi młodych sosnowych łąpek, puszczających soki, strojnych w Zielone Świątki, zimą malowanych mrozem i obwieszonych kruszącymi zajacami.

Opowieść o bramach i groźnych dozorcach, którym lokatorzy, wracający po 11 w nocy, musieli płacić szperę.

O piecach – pożerających pachnące żywicą szczapki drewna.

O wodzie: czerpanej żerdzią z „kluczką” i noszonej w „koromyśle”. Poznamy też wspaniałą historię zagraconych krakowskich przedpokojów, w których zawsze wisiała kropielniczka, a często i blaszana wanienka, spadająca z łomotem na zaskoczonych gości.

„Przez pozabawiony okien przedpokój trzeba było przechodzić dziesiątki razy dziennie. A kiedy wracało się do domu, po dłuższej wakacyjnej nieobecności, to on, wierny, ciemny przedpokój, lasił się do człowieka swoim, domowym zapachem, łagodnym światłem



lampy. Pokoje wydawały się nadęte i były zakurzone, kuchnia – obrażona długą nieobecnością gospodarzy, natomiast przedpokój, strzegący mieszkanią niczym pies, przypadał do nóg wytartym dywanikiem”.

Autor proponuje czytelnikom sentymentalne wyprawy: na wisielną plażę, gdzie całkiem niedawno po prostu zażywano kąpiele, do Łasku Wolskiego, obok domostwa autentycznej salwatorskiej grabarzycy i wielkiego napisu: „Min niet!”, na majówkę nad Rudawę, gdzie w niedzielę paradowały panie w nieśmiertelnych sztywnych, różowych stanikach.

Panów, zwłaszcza nocnych marków, zainteresuje wędrowka po zwierzyńskich knajpach: poetyckim „Barze na Stawach”, owianym legendą Harasymowicza i Olka Kobylińskiego Makino. Wspaniałym, wielkością swojej kuchni – barze pana Davidsona, którego historię opowiada syn właściciela. Wreszcie, witanej z dreszczem lęku, knajpy Fasa – „żydowskiego karczmarza, gdzie bywali prawdziwi nożownicy. Kiedyś Pan Jerzy widział, jak z knajpy Fasa uciekał człowiek z wykutym okiem”.

Barwny świat Andrzeja Kozioła wzbogacają prawdziwi uliczni handlarze i furmani, wę-

glarze, pucybuci, przekupnie, rzemieślnicy. O zainteresowanie proszą się dawno już zapomniane przedmioty: grzybek do cerowania pończoch, dziewczynskie pamiętniki, lusterka z Marilyn Monroe, szczyryki, korkowce, pukawki, stare żelazka, brzytwy, chusteczki, metalowe lokówki, kapelusze, czapki...

Czytając książkę „Zapominany Kraków”, co chwilę ma się ochotę powiedzieć – tak, tak właśnie było. I dodać coś od siebie. Bo rzeczywiście – za największą krakowską wrótkę uchodziła po wojnie Viktoria Gizela Winiarska: „Jasnowidząca grafologini po studiach w Wiedniu”. Jak głosi legenda: w zamian za udaną przepowiednię otrzymała w prezencie od księżnej witemberskiej forda i jako pierwsza krakowianka wzięła udział w rajdzie samochodowym. Pochowano ją zgodnie z życzeniem: w białym kostiumie, w białej trumnie, wśród białych kwiatów. Na pogrzeb przyszło pół Krakowa!

Rzeczywiście w porannym programie radiowym występował kretyn pokrzykujący: „A teraz maszerujemy dookoła stołu. I raz! I dwa! I trzy!”.

Na zeszytach szkolnych naprawdę drukowano napis: „Czy wiesz, że z gnidy będzie wesz?”

A przed seansem filmowym na ekranie pojawiał się napis: „Dziś za projekcję odpowiada obywatel...”.

To wszystko prawda, choć dziś wydaje się i absurdałne, i naprawdę śmieszne.

Niestety, mam wrażenie, że im więcej piszę o „Spisie rzeczy minionych” Andrzeja Kozioła, tym bardziej oddalam się od istoty rzeczy, że opowiadając kolejne anegdoty i próbując przybliżyć nastrój tej prozy, w gruncie rzeczy zubażam jej zawartość. Dlatego wróćmy do istoty rzeczy.

Świadomie przywołałem wcześniej nazwisko Jacka Stwory – pisarza, posługującego się mikrofonem, który w latach powojennych przemierzał przedmieścia, poszukując ludzi pełnych pasji, namiętności, po-

slugujących się własnym, oryginalnym językiem, ludzi honorowych, krewkich, zadziornych... Dzięki nim powstało później radiowe arcydzieło: „Dzielnica szwarckopów”, o którym pan Jacek tak mi opowiadał:

„Chciałem pokazać przedmieście skondensowane, gdzie handlowało się wszystkim, ale handlowało się z pasją. Nie po to, żeby zarobić, ale żeby uzyskać pewną satysfakcję, pewne przeżycie. Tam gołąb, to był Gołąb! Król to był Król! No a maść na odciski to był cudowny lek, to była lampa Aladyna! A handlarz psim smalcem był władcą wiedzy tajemnej! I tak trzeba było, proszę pana, do tego podejść, znaleźć w tych ludziach, jak się to kiedyś mówiło – z peryferii – bogaty świat ich przeżyć... Bo oni handlowali nie tylko, żeby zdobyć pieniądze, nie tylko po to, żeby potem wypić ćwiartkę i duże piwo, ale żeby się jakoś spełnić, wykreować, po prostu żyć. I kiedy ich odrębny obyczaj udało mi się utrwalić: w geście, w dźwięku, w słowie, to wracałem przez moment, już poprzez taśmę, do tego świata, który jako dziecko widziałem żywy, prawdziwy, bogaty. (...) Wracałem do dzieciństwa”.

Tą samą drogą i z podobnym skutkiem podąża Andrzej Kozioł: przywracając nam wszystkim utracone wspomnienia. Generacjom starszym – napiętnowane wojną, nieszczęściem, zagładą. Ludziom w wieku średnim – dzieciństwo odzierane z obyczajowej odrębności. Unifikowanej. Niszczony przez system. Zastępowanej „nową świecką tradycją”.

Jak mówił Jacek Stwora: „Trzeba łagodnie przechodzić w śmierć, w zapomnienie. Ale to nie zostało nam ani temu miastu dane. Jeden świat runął nagle – straszliwie zmiażdżony, potem była przegrada, a potem było NIC. No, bo co w ciągu tych ostatnich 45 lat godnego jest zapamiętania? To miasto nie umierało, jego obyczaj nie umierał naturalną śmiercią, nie miał możliwości, aby przetrwać w inny. Było coś, i to coś brutalnie zabito. Wyrzucono – won – na śmietnik”.

Jak czapki rogatywki. Jak knajpę pana Davidsona. Jak prywatne sklepiki.

Została pamięć posypana cukrem.

Andrzej Kozioł, Zapominany Kraków. Spis rzeczy minionych. Wydawnictwo WAM, Kraków 2007.

Powieść z dnia na dzień

Kiedyś była to prasowa codzienność. Wczesnym popołudniem przed kioskami ustawały się kolejki po „Echo Krakowa”. Emeryci, szczególnie miłośnicy tej popołudniówki, po prostu kupowali „Echo”, młodzi czekali na kolejny odcinek kryminalnej powieści. W czasach permanentnych braków, także w księgarniach, w czasach gdy dobre kryminały były w Polsce równie rzadkie jak czarne diamenty, ludzie starannie wycinali kolejne odcinki. Ba, jeszcze niedawno na bazarze pod Halą Targową na krakowskich Grzegórkach natknąłem się na wycinki z „Echa” – już pożółkłe, postarzone, ale pięknie oprawione – w wiśniowe płótno.

Tak było niemal wczoraj, przed kilkudziesięciu laty, ale

w Polsce powieść drukowana w odcinkach ma szlachetną i starą tradycję. W ten sposób po raz pierwszy czytelnicy otrzymali „Potop” Sienkiewicza. Przez dwa lata – pomiędzy 1884 a 1886 rokiem – krakowski „Czas”, warszawskie „Słowo” i wielkopolski „Dziennik Poznański” publikowały kolejne odcinki przygód Kmicica, Wołodyjowskiego i Zagłoby. Wielokrotnie powtarzana – ale czy prawdziwa? – anegdota mówi, że pan Henryk nieco się pogubił i stał do redakcji rozpaczliwy telegram: „Co z Kmicicem?” Odpowiedź miała brzmieć mniej więcej tak: „Kmicic w Częstochowie. Właśnie wysadził kolubrynę”.

Na łamach zacnego, konserwatywnego „Czasu” światło dzienne ujrzała także inna powieść Sienkiewicza – „Quo va-

dis”. Był to koronny argument podczas procesu wytoczonego gazecie przez Boya. Redakcja wyrzuciła z felietonu autora „Słówek” jedno słówko – „dziwka”. Nie „dziewka”, która pojawia się nawet u Sienkiewicza, w piosnce śpiewanej przez pana Onufrego Zagłobę, ale po prostu „dziwka” – uliczna i wulgarna. Podczas procesu adwokat „Czasu” spazmował, twierdząc, że na łamach gazety, która miała zaszczyt publikować „Quo vadis”, nie może padać słowo godne „Zielonego Balonika”. Sąd był innego zdania, naczelny musiał zapłacić dwieście pięćdziesiąt złotych grzywny, pięćset złotych „pokutnego” i jeszcze na dodatek wydrukować wyrok sądu.

Zwróćmy jednak uwagę na dumę, na satysfakcję płynącą z faktu drukowania powieści w odcinkach. No cóż, kiedyś

ten sposób publikowania literatury był – używając sformułowania pewnego polityka – oczywistą oczywistością, a nazwisko autora „Quo vadis” rzeczywiście dodawało splendoru każdemu tytułowi.

Tradycja „Czasu” w pewien sposób kontynuowała w latach siedemdziesiątych „Gazeta Krakowska”, publikując w odcinkach historyczną powieść, na nieszczęście nie Sienkiewicza, ale niejakiego Korkozowicza. Rzecz – przygody agenta polskiego wywiadu z przełomu XIV i XV wieku – była pyszna, ale wbrew intencjom autora. Średniowieczny Hans Kloss mieszkał na mansardzie, a po ulicach Krakowa snuły się gamratki. Było to dziwne, bo wmiem ani inżynier Mansart, ani biskup Gamrat w tamtych czasach jeszcze się nie urodzili...

Od najbliższego poniedziałku również w „Dzienniku Polskim”

Powoli jednak odcinkowa literatura ustępowała miejsca radiowemu serialom („Matysiaków” słuchała cała Polska, „Jezioran” połowa), aby z czasem przegrać z wszechobecnym, rozpanoszonego serialem telewizyjnym. Ba, trafiały się nawet próby wykorzystania przez prasę telewizyjnych tasieców. „Życie Literackie” publikowało tekst serialu o pewnej pani, którą pogryzł krokodyl. Niestety, nie udało się próba ratowania tygodnika. Naród lkał przed telewizorami, ale „Życia” nie chciał kupować...

Jeszcze przed kilku laty w „Dzienniku Polskim” ks. Mieczysław Maliński snuł dzieje św. Faustyny. I na tym koniec. Wydawało się, że powieść w odcinkach to przeszłość, relikw. Ze co najwyżej można bawić się konwencją,

tak jak bawił się Mrozek, publikując kolejne mini – po kilka wierszy – odcinki „Starej baśni”. Tymczasem... **AMK**

Od najbliższego poniedziałku, 5 listopada, zapraszamy Czytelników „Dziennika Polskiego” do lektury powieści odcinkowej pt. „Kankan na wulkanie”. Jej autorem jest Marek Oramus, znany z naszych łamów jako felietonista, a w „cywilu” pisarz książek fantastycznych. Akcja „Kankana...” rozgrywa się będzie w roku 2018. Proste z pozoru śledztwo w sprawie zaginięcia pewnego naukowca doprowadzi do odkrycia wielkiej międzynarodowej afery polityczno-korupcyjnej... Kolejne odcinki od poniedziałku do czwartku na ostatniej stronie „Dziennika Polskiego”.